

Dobroński, Adam

Ostrowska 'Alma Mater'

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 8, 307-310

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Część czwarta:

Ruch regionalny ● Sprawozdania ● Recenzje ● Kronika

Adam DOBRŃSKI

OSTROWSKA „ALMA MATER”

Ostatnio często w dyskusjach i na kartach czasopism powraca temat „małych ojczyzn”. Mówiono o nich m.in. we wrześniu 1994 r. na gdańskim Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich i wrocławskim Kongresie Regionalnych Towarzystw Kultury. Na przekór wcześniejszym prognozom, że wraz z rozwojem cywilizacji technicznej zanikać będą odmienności regionalne i lokalne, „małe ojczyzny” przeżywają kolejny renesans. Dostrzegają je ekonomiści, politycy, ekolodzy, socjolodzy, przedstawiciele wielu innych jeszcze nauk i dziedzin życia. Dowodem tego są ukazujące się publikacje, prowadzone badania, ale i „powroty sentymentalne”, których można się już nie wstydzić.

Po II wojnie światowej z różnych przyczyn wzrosła mobilność Polaków, silna była zwłaszcza najpierw fala przesiedleńcza ze wschodnich krańców II Rzeczypospolitej ku zachodowi i północy, a następnie z terenów wiejskich i małomiasteczkowych do dużych ośrodków uprzemysłowionych. Minęły dziesięciolecia, okresy ambitnych centralnych planów gospodarczych i dotkliwych kryzysów gospodarczych. Łatwiej nam teraz chyba jest zdobyć się na refleksję i zadać sobie pytanie: ile zyskaliśmy, a ile straciliśmy wskutek porzucenia stron rodzinnych? To pytanie ma zwłaszcza sens w wymiarze indywidualnym, bo wówczas łatwiej jest ocenić wynik finalny: sukces poprzez awans, czy zagubienie się w nowym środowisku w wyniku ucieczki na oślep? Przegrani dokonują najczęściej takich obrachunków w skrytości, zwycięzcy mogą pozwolić sobie na publiczne wspomnianie lat

dzieciństwa i młodości, grusz na miedzy, powykręcanych przez reumatyzm rąk matki i przygiętego do ziemi ojca rolnika. Jawi się wówczas i obraz szkoły, nauczycieli, którzy zdołali przekonać, że jeśli Jaś się czego nie nauczy...

Na pewno szkoły zarówno we wspomnieniach serdecznych, jak i w pracach znawców tematyki „małych ojczyzn” zajmują poczesne miejsce. W nich z reguły po raz pierwszy usłyszeliśmy o lokalnych odrębnościach, uczyliśmy się szacunku dla tradycji, wchłanialiśmy – nie wiedząc o tym – „bakcyle dumy regionalnej”. To był początek biegu po wiedzę, tytuły i stanowiska, pozycję i satysfakcję w komplikującym się świecie. Jednym udało się bardziej i ci chętniej wracają po latach do „starej budy”, dawnych belfrów oraz kolegów z ławy szkolnej. Wystarczy przejrzeć listy zgłoszeń na zjazdy koleżeńskie. A jeśli jest gdzieś w Polsce lub świecie grono znanych wychowanków szkoły, to rośnie i prestiż miejscowości, wzrasta szansa na powstanie rodzimego lobby, zorganizowanej lub nieformalnej grupy „miłośników” vel „przyjaciół” miasta, ziemi.

Śmiem twierdzić, że do wyróżniających się pod tym względem miast w obecnym woj. ostrołęckim należy Ostrow Mazowiecka. Wątpiących powinien przekonać między innymi także VI Zjazd Koleżeński Wychowanków Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Ostrowi w dniach 11–12 czerwca 1994 r. Było tłumnie, serdecznie, godnie, a i ckliwie. Tradycyjnie już wszyscy uczestnicy Zjazdu przemaszerowali główną ulicą przez całe niemal miasto. I też zgodnie z przyjętym zwyczajem na chodnikach stanęli mieszkańcy, by pozdrawiać, komentować, wyrazić swoją radość. Ten pochód i te powitania obie strony potraktowały jako wyraz wzajemnej aprobaty, widomy znak trwającej łączności, choć mijają lata i coraz bardziej maleje liczba bezpośrednich znajomości.

Ostrowska „Alma Mater” doczekała się kilku opracowań monograficznych, wydawnictw okolicznościowych i numerów „Naszej Więzy”. Przed 85 laty, w 1909 r. pani Klaczkiewiczowa założyła w tym mieście dwuklasową szkołę koedukacyjną z zamiarem przekształcenia jej w progimnazjum. Udało się to jednak dopiero Karolowi Grochowskiemu w 1911 r. I ta placówka borykała się z licznymi trudnościami, a właściciel wszedł nawet w konflikt z miastem. 16 grudnia 1912 r. Magistrat Ostrowi przyjął wniosek o powołaniu 6-klasowego gimnazjum miejskiego, ale wojna skomplikowała trudne dzieło tworzenia

szkoły średniej numer 2 w całej rozległej guberni łomżyńskiej. Jesienią 1915 r. można było nadać gimnazjum częściowo polski charakter. To obecnie już tylko zapisy historyczne, nie żyją tamci uczniowie, niemal brak pamiątek, nie przerosły w legendę czyny ostrowskich gimnazjalistów doby zaborowej.

Co innego dwudziestolecie międzywojenne. Dwa istniejące tu od 1918 r. gimnazja połączyły się w 1924 r. w jedno koedukacyjne o profilu humanistycznym, utrzymywane głównie przez władze samorządowe. Piękną kartę zapisali ostrowscy młodzi ochotnicy z wojny 1920 roku, zachowały się relacje i zdjęcia z powitań zacnych gości (prezydent Stanisław Wojciechowski w 1924 r.), szkoła otrzymała w 1928 r. sztandar i piękny gmach, który nadal stanowi ozdobę miasta. A w 1930 r. udało się uzyskać status państwowy. Gimnazjum ostrowskie im. Ignacego Mościckiego tętniło życiem skupiając niemal czterystu uczniów i doborowe grono pedagogów. *„Była to społeczność lepsza czy gorsza niż w pozostałych szkołach II Rzeczypospolitej? Na pewno była o tyle inna, że w tym właśnie mieście skupiona...”*. Nie ma powodów, by nie wierzyć wspominającym starszym koleżankom i kolegom, że doceniali świadczoną im „ofiarę wiedzy”, mozolnie wyrabiali umiejętności, naginali swe charaktery do ideałów propagowanych przez wychowawców. Posiedli oni w stopniu zadowalającym cechę koleżeńskości i nieozdorną w warunkach dowojennych cnotę tolerancji. Miasto starało się im zapewnić coraz lepsze warunki nauki i to mimo narastających kłopotów finansowych. Gimnazjaliści pozostali ostrowiakami nawet, jeśli losy rzuciły ich daleko poza Mazowsze Północno-Wschodnie. Ci zaś, co zasilali elity miejscowe spłacali dług wdzięczności zaciągnięty wobec miasta i regionu. Wojna zniszczyła ukształtowane relacje, powiększyła, niestety, liczbę poległych i zamordowanych wychowanków, wyrzuciła niektórych poza granice Polski, a gmach szkolny omal nie legł w gruzach. Zarazem zrodziła się legenda o „chłopcach z lasu” uczęszczających na tajne komplety, bohaterskich lotnikach i marynarzach, zwycięzcach spod Monte Casino, wiernych (i urodziwych) dziewczynach z warkoczami. Raz jeszcze okazało się, że takie ciężkie, nawet tragiczne próby hartują charaktery, jeśli zadbano o ich wcześniejsze formowanie. A takie boje o wytrwanie niezwykle mocno wiążą społeczności mające już do siebie zaufanie. Potem już łatwiej przetrwać i lata niespełnionych marzeń, częściowych tylko zwycięstw. Los szkoły i wychowanków dzieliło

miasto i wszyscy jego mieszkańcy, ale równie prawdziwa jest zależność odwrotna.

Po 1944/1945 r. ostrowiacy za przykładem całej Polski z entuzjazmem odbudowywali, szerzyli postęp, utrwalali. Stopniowo i ich charaktery ulegały erupcji w warunkach systemu zwanego demokratycznym i ludowym zarazem. Tak działo się, niestety, również w omawianej szkole, choć o tym niechętnie wspominają powojenni wychowankowie. Szkody były jednak chyba mniejsze niż w innych miastach i regionach, bo nie powstała tu żadna „Nowa Huta” na miarę choćby powiatu, okoliczne wsie poszłańskie pamiętały o wskazaniach ojców i dziadów, trwał Kościół ze swymi naukami, dochodziły wieści od rodaków zza „żelaznej kurtyny”, obowiązywała zasada sąsiedzkiej pomocy w biedzie. W Liceum jednych nauczycieli – tych „nasłanych” – należało bać się, innych bacznie słuchać i obdarzać zaufaniem, odróżniając wiedzę nakazaną od potrzebnej. Najważniejsze, że szkoła miała nadal wysoki poziom i pozostała placówką o s t r o w s k ą. A nadmiernie gorliwych aktywistów weryfikowało życie, trafnie oceniali ich koledzy, znajomi. Miasto pozostawało na tyle małym, że znali się tu nadal niemal wszyscy i na tyle dużym, że można było sobie wybrać „do bywania” środowiska przychylne, opierające się deformacjom. Pamiętam taką scenę ze sklepu spożywczego. Wszedł do środka groźny funkcjonariusz służb specjalnych, bano go się, opowiadano o jego wyczynach. W kolejce przy ladzie nikt jednak nie zrobił mu miejsca, nie odezwał się, nie zachęcił gestem powitania. „Bezpieczniak” przystanął, zakręcił się na pięcie i odszedł trzaskając drzwiami. Czekający wrócili do przerwanych rozmów.

Kończąc te refleksje, za dużo już w nich jest subiektywizmu i ochoty do własnych wspomnień. Na VI Zjazd Koleżeński kilkunastu wychowanków nadesłało teksty i te opublikowano w numerze specjalnym „Naszej Więzi”. Joseph (Józek) Chrust list z Izraela zakończył następująco: *„Tyle o mnie. Wstydu mojemu Gimnazjum nie przyniosłem. Czy jest coś, co mogę dla Pana (adresatem był dyrektor LO) uczynić? Chętnie to uczynię. Proszę mnie napisać”*. A inny autor zaprezentował sylwetkę Leszka Talki, dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu: *„Ten wychowanek Gimnazjum Ostrowskiego ciągle oddaje ludziom cenne usługi, zgodnie z ideałami przyjętymi w młodości”*.

Są szkoły zapomniane i szkoły, do których ciągną wychowankowie – tam oczekiwani!